Lwów, 6. Stycznia. Nr 3. Rok 1855.

# NOWINY

Wychodza we *Wtorek, Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k. Rycźny mód kwartal. 1 Złr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po 1 1/2 kr. i za dopłatę 10 kr. stepl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

## CZERCZA MOGIŁA.

Powieść przez

*J. I. Kraszewskiego.*

(Ciąg dalszy.)

W okolicy, ba w całym kraju na mil jakie pięćdziesiąt, znano pana Stefana Wilczurę, bo bez niego nie obeszło się ani wesele, ani pogrzeb, ani zrękowiny, ani kondescensya, ani zwada, ani zgoda. Był to jeden z tych ludzi wszystkim potrzebnych, co w każdym złym czy dobrym razie pierwsi na myśl przychodzą. Mógł już mieć podówczas lat pięćdziesiąt, ale tych na nim znać nie było, choć ich za kołnierz nie wylał. Nie wielkiego wzrostu, krępy, pniakowaty, siły żubrzej, nigdy nie był pięknym, ale twarz jego miła, chwytała za serce i szczególną władzą przyciągała ku sobie każdego. Spojrzawszy nań widziałeś od razu że się na jego sercu nie omylisz, tak je na wierzchu trzymał.

Takich ludzi przed niedawnemi czasy jak maku u nas było, co to się z nich życie wszystkiemi lało szczelinami, dziś za to nic się nie wylewa, bo pusto we środku. Pan Stefan miał wszystkie wady swojego wieku, wszystkie jego przesądy, miał oprócz tego nieszczupłą garstkę swych własnych, ale i cnót obficie, co za nie z nawiązką płaciły. *Kudy kiń to kozak*, jak powiada ruskie przysłowie, przybłąkane do nas z Zaporoża, od niczego się nie wymówił, i we wszystkiem przodkował; na konia siadł aż lubo było spojrzyć, strzelał jak nikt lepiej, pił za dziesięciu i nie spił się, tylko ten miał zwyczaj, że podchmieliwszy, już bywało nic nie mówi, tylko spiewa a spiewa, i to własnej inwencyi wierszykami, wcale zgrabnemi. Do kompromisu jedyny, bo prawo i ludzi znał na palcach, z książek go było zagadnąć nie utknął, bo ich siła czytał, do kobiet przysiąść się umiał galanta, wybić w pałasze jak palestrant lubelski, słowem i głowa tęga i serce najlepsze, ale też szaławiła; że drugiego poszukać i nieznaleść.

A choć i nauki od Pijarów był liznął i dworu u książąt Ogińskich skosztował, bo ojciec jego i rodzina z dawien dawna jeszcze od Olkienickiej, ba i starzej temu domowi służyli, choć człek światowy wcale, choć wszystko wiedział co przeciw staroświeczczyźnie pisano i prawiono, z ościami był starej wiary. Niebyłby za nic w świecie dnia świątecznego nieposzanował, czarownic bał się okrutnie, w gusła wierzył wszystkie, przy sobie kazał tłumaczyć, a którego dnia lewą nogą stąpił z łóżka, bał się za próg wyjść, żeby mu się co złego nie stało. W poniedziałek niczem go z domu wywabić nie było można, a feralne dnie ze starego kalendarza co roku pro memoria w nowy wpisywał czerwonym ołówkiem. Ślachcic miał jedynaczkę, przy której bawiła wdowa po krewniaku jego, panu Pańczewskim z Zawilejskiego, kochał ją bardzo, ale rzadko domu pilnował, ludziom służąc i sam się bawiąc, a gdy okazyi nie było, polowania zbierając.

Całe życie jednakowo chadzał i choćby do największego dworu i w największą uroczystość stroju nie zmieniał, od śmierci żony w czarnym kirze się nosząc; co mu jednak nie przeszkadzało wcale do lada ładnej gąbki śmiejącej się i czarnych oczek jak jasna świeca się palić i cholewki smalić, choć czupryna siwiała. Sławnie też, choć w tej żałobie, polskiego tańcował, zwłaszcza gdy sobie podochocił, tancerz był zawołany do innych, swoich i cudzoziemskich tańców, czy to krakowiaka, czy drabanta, czy mazura; w kozaku zaś z prysiudami równego nie miał.

Bywało go w ręce całują na pokojach u ks. Ogińskiego, żeby im to pokazał, ale nie zawsze się dał namówić. Starzy i młodzi kochali go i taką miał miłość u szlachty, że na sejmikach na ręku go nosili, a kogo im podał utrzymali każdego, ani patrząc co drudzy krzyczeli przeciw, jeśli kto śmiał przeciw Wilczurze gębę otworzyć.

Dom jego nie bardzo był uczęszczany, bo Serebrzyńce z położenia swego niedostępne, odległe od gościńców, za wodami, nie bardzo miały obfite sąsiedztwo; ale za to gdy zaprosił pan Stefan, hulano tam po tygodniu, po dwa, i wysuszano piwnice do kropli, a naówczas córkę z domu Wilczura wyprawił żeby już nic do bankietu nie przeszkadzało.

Serebrzyńce jak widzieliśmy z Krasnem sąsiadowały, bo dwoma bokami gruntów opierały się o nie, i gdy w miasteczku wieść się rozeszła że je pan Hawnul kupił, że w nich osiada, Stefan się mocno ucieszył.

— A to przecie rzekł, pan Bóg mi sąsiada daje, będzie gdzie w słotę w marjasza pograć lub pogawędzić, będzie kogo zaprosić na wieczór zimowy i człek trochę ławy zagrzeje. Ale co to za ptasio Hawnul, coś tej familii nie znam!

Nieznali jej i drudzy, ale że tam po Litwie moc jest nazwisk różnych, nikt się temu nie dziwował.

— Może być Syrué, może być Bołtuć, może być Dziumdziul i Hawnul, rzekł ferując dekret Wilczura, pan Bóg różnie ludziom rodzić się daje, a szlachty dziwnego nazwiska przepaść.

Pilno się o niego dowiadywał Wilczura, ale daremnie, bo go ani dostąpić, ani spenetrować niemógł. Nadybał go w miasteczku raz i chciał *titulo* sąsiedztwa zrobić znajomość, ale Hawnul tylko mu się pokłoniwszy, uszedł.

Już to wszystko i sama fizys nie podobała się jakoś Wilczurze, ale milczał.

— Chce cicho siedzieć i za piecem pana Boga chwalić, niech mu się stanie wedle woli jego, obchodziliśmy się bez Hawnulów dużo, potrafimy obejść i teraz.

Spotykali się potem nie raz i nie dwa w kościele, w miasteczku, na polu koło granic, grzecznie sobie kłaniali, a Wilczura im częściej mu w oczy zaglądał, tem gorzej ominował. Po cichu nawet zeznawał przed swojemi że przybłędzie źle z oczów patrzy.

— Możem winien i z grzechem że o bliźnim tak szparko się odzywam z wyrokiem, ale dalipan, z ust co się nie śmieją, z ręki co się nie otwiera, nic dobrego nie wróżą. Przecież żeby jakie ciężkie było życie, chwila jest, że się zaspiewać zechce.

Niespokoił go ten sąsiad tak zaszyty w izbie sam z żonką, a nie gospodarz, a nie myśliwy, i nie koniarz i nie hulaka, unikający ludzi i niemający dla nich dobrego słowa. Od żydów, od szlachty, od Zużla zbierał o nim wiadomości Wilczura i zżymał się, że niczego dowiedzieć nie mógł.

— Przecież, mówił, czemś to żyć musi, dobra żona ale i żona jemu i on jej dokuczy ustawiczną miłością, coś u kata ma pod wątrobą, bo to bez kozery nie jest!

Kozery wszakże domacać się było trudno.

Rok cały w ten sposób upłynął, a choć ludzie oswoili się z Hawnulami, pletli na nich, to że stary w piwnicy gdzieś pieniądze fałszywe kował, to że pokryjomu pił, to że sknerstwem się zabawiał wszetecznem, ale najwięcej w końcu to się o nim rzekło, że z ludźmi nie żyje, bo impetyk straszny i sam siebie się lęka, tak go furja unosi, byle mu kto najlżej przeskrobał. Opowiadano że raz włościanina z Gruszej Góry, zająwszy bydło jego na sianożęci, o mało czekanem z którym chodził, nie ubił, że Zużla pchnął raz z izby tak, że nim drzwi wyłamał, i inne dziwy straszne.

— A to siłacz widzę, mówił Wilczura — ale czy to już stary dąb najmocniejszy dla tego że wielki, kto to wie jakby się z kim małym popróbował, czyje by było na wierzchu?

W spokoju ten czas przeżywszy, już pan Stefan miał o sąsiedzie zapomnieć zupełnie i przestać się może oń dowiadywać, gdy raz jakoś porą letnią o samym sianokosie, wpada ekonom do niego z oznajmieniem, że ludzie z Krasnego sianożęć na Pogrudziu od granicy koszą.

Pan Stefan aż się zatrząsł. Co to jest! zawołał, jakim sposobem, zawołaj wasan gromadę, z cepami, z kijmi, z siekierami, z kosami i spędzić mi ich natychmiast. Jakim sposobem to się stać mogło? jak się ośmielili?

Historja tej sianożęci na Pogrudziu sięgała bardzo dawnych czasów, gdy Krasne i Serebrzyńce do dwóch rodzin którym nadane zostały za Zygmunta Augusta, należały.

W nadaniu na Krasne wyraźnie powiedziano było, od kąd się poczyna granica Serebrzyniecka, od kamienia na błocie, i gdzie się ona kończy, przy barci Siemionowej, na uroczysku Wilcze pole, ale nie wyszczególniono przez jakie punkta przechodzi. Ztąd od dawna spór się wyrodził, gdyż Serebrzynieccy dowodzili że od kamienia, Łycho zwanego, szła rabież wodocieczna, po za sianożęcią do barci, a Krasniańscy przecząc temu i sianożęć sobie przyznając, za termin *per quem*, wskazywali mogiłę, z bardzo dawnych wieków, zwaną Czerczą, którą oni za kopiec graniczny podawali, łąkę sobie chcąc przywłaszczyć. O tę więc sianożęć, na której w dobry rok mogło stanąć parę stogów siana, była walka, jak gromady świadczyły, zajadła, i trafiało się że z obu stron ludzi zabijano, do sądu z niemi się ciągano, obdukcje napaści robiąc, pozywając się, komissye zwołując bez ustanku. A że procesowi granicznemu końca nie było, i żadna strona ustąpić nie chciała, trwało to równie czas długi. Jednego roku chwycili siano Krasniańscy, drugiego Serebrzynieccy, obie wioski łąkę sobie przyznawały, póki wreszcie majątki te w ręce Kraśniańskich nie przeszły. Pod jednym dziedzicem ucichło to naturalnie, dwór zbierał siano i zapomniano sporu; ale gromady pamięć owych walk przechowywały. Kiedy znów majętności się rozdzieliły, Kraśniańscy podupadli, Serebrzyńce zaś w jednym ręku były, i u silniejszego, Wilczura łąkę kosił i spał spokojnie. Pierwszego roku nawet po nastaniu w Krasnem dziedzica, skosili Serebrzynieccy, ale z jakiejś obawy stogów nie stawili, siano na brzeg wytaszczyli i do odryny schowali na swoim gruncie; myślał tedy Wilczura że to już minęło, aż tu znać dają że Krasniańscy mu łąkę golą.

Zakipiała w nim krew, szablę przypasał i co było we dworze na koń wsadziwszy, sam na deresza, ekonom także, aż do kuchtów, z czem kto miał, do wioski, zwołując gromadę, po chatach, z pola.

Zebrało się tam tego dosyć, bo ludzie zawsze na taki wypadek najskorsi, a nienawiść między gromadami była taka że się nawet nieswatali od niepamiętnych czasów, jedni drugich zowiąc cyganami, to tatarami, i zaraz to wszystko na łąkę, a przodem pan Stefan. (D. c. n.)

## Moja piosnka.

Zawsze też same sosny żywiczne,
Zawsze te same wody kryniczne,
Łąki i rosa, przeróżne kwiatki,
Zaranek cichy i błękit gładki.
Skowronek lecąc w toń lazurową,
Wisi w powietrzu nad moją głową, —
Kiedy się w sobie bracia uciszę,
To wszystko widzę i wszystko słyszę.

I tak się z serca wydziera śpiewka,
Jak mazowiecka do tańcu dziewka,
Strojna w bursztyny, w korale, maki,
I złote piżmo, modre modrzaki.
Jasna jak zorza, świeża jak woda,
Przy brzęku skrzypic wywija młoda,
Ani się pyta czy to tak ładnie,
Toć przecie komuś do serca wpadnie.

To mi tak czasem coś w ucho gada,
Niby dziewczyna ze złota cywką,
Spojrzę się, mignie gębusia blada,
Chwytam w powietrzu jasne przędziwko,
I snuje z niego tęczę na chmurze,
I snuje z niego stokrótki, dzwonki,
Żółte dziewanny i polne róże,
I wstęgi wody przez wonne łąki.

I na raz wioska błyśnie kochana,
Na pocieszenie — dana, oj dana!
Chałupy drzemią, chylą się sosny,
A w duszy mojej tak pełno wiosny,
Takim szczęśliwy. Lecz szczęścia promień
Nie długo świeci, znikają blaski
I noc i wicher i straszny płomień,
I od płomienia straszniejsze wrzaski.
I krew się burzy i pięść zaciska,
I niema spada łza w spaleniska,
Bo serce pęka...
Stróżu Aniele!
Zawodzącemu mnie na popiele,
Przybądź i z duszy mej ścieraj plamy,
Błękitem wiary, nadziei łzami.

Tak ja tam zawsze do was przychodzę,
W śnie czy na jawie, ja ku wam w drodze;
Łódką flisowską czy też z lirenką,
I z krzywym kijem ciągnę z daleka,
Czy też kto wyjdzie, czy też kto czeka,
Czy kto powita przyjazną ręką?
Na ciepłej łące grają derkacze,
Z pod nóg mi rwą się pliszki i lelki,
Nikt mnie nie wita! sercu żal wielki,
Nie dość na jawie jeszcze w śnie płaczę,
I ręką wiodąc ku zachodowi
Śpiewam żałośne: *bywajcie zdrowi!*

Bywajcie zdrowi! myśl moja z wami;
Ona tam górą ciągnie z gwiazdami,
Albo się miesza w bocianie stada,
I białoskrzydła na ziemię spada,
Ona tam stoi nad wód krynicą,
Albo się wiesza na krzyżach drożnych,
Ona się modli z białą dziewicą
I unosi się w hymnach pobożnych.
Choć wy na moje serce żelazem,
Choć zimnym lodem, ja z wami razem.

Powietrze ciche jak zasiał makiem,
Zarumienione poranną zorzą,
Takbym rad wzleciał w powietrze ptakiem,
W ten szklany przestwór, w tę piękność bożą!
Och! jakiś anioł na świat się zniża,
Bo czuję lekkość Chrystusa krzyża,
I bliską radość, i pieśń żałosna
Topnieje łzami — wiosna, och wiosna!

Precz marne skargi. O bracia moi,
Przyjmijcie w serce tę piosnkę lichą,
Ona uboga przed chatą stoi,
Jeżeli płacze to płacze cicho,
Siostry i bracia, otwórzcie oto!
Pustka! — zacichnij piosnko sieroto.

*T. Lenartowicz.*

---

# JEDNODNIÓWKI.

(Ciąg dalszy)

Później poznano lepiej istotę ludzi-jednodniówek, przyzwyczajono się do chwilowych ich brzęków, i policzono ich między trutniów, tych brzęczących nieustannie leniwców i nierobów, bez których wszakże żaden rój pracowitych pszczółek obejść się nie może. Jak owe trutnie zjadają pracującym pszczołom zasoby miodu, tak samo zjadają jednodniówki swoje „wczoraj i przedwczoraj“, ta tylko między nimi zachodzi różnica, że pierwsze popełniają kradzież na cudzej własności, ci zaś — dzieciobójstwo. Jeźli bowiem poganie wyobrażali sobie c z a s w postaci Saturna, połykającego dzieci własne, więc tak samo wyobrazić sobie możemy człowieka-jednodniówkę, który najważniejszy dzień życia swego, lub jakiś epizod tegoż, w ostatnim akcie nie- niemiłosiernie połyka, aby dniu jutrzejszemu zostawić — czyste nakrycie. W jednym dniu zbudował on węgły społeczności, zorganizował nowe potęgi, przemienił agrikul-

turę na przemysł i giełdę, zaproponował w dodatek rewizyą karty europejskiej, ale z obojętnością patrzał, jak rozwiniony karton najpracowitszych jego pomysłów, ze schyłkiem dnia począł się zwijać, nito obrazek z gumyelastyki, gdy mu ciepła zabraknie.

Człowiek-jednodniówka jest pod tym względem nader szkodliwym dla swego społeczeństwa, chociaż sam przez się jest człowiekiem najlepszego serca. Przyciska serdecznie cały świat do swojej piersi, oświadcza się i całuje, ale z końcem dnia ustają wszelkie jego zobowiązania. Jest on maszyną, którą co dnia nakręcać potrzeba, bo z każdą nocą ustaje jej ruch i życie. Potrzebny jego pomocy, jeźli tylko ta pomoc w jednym dniu uskutecznioną być może, znajdzie w nim najżyczliwszego i zapalonego dobrodzieja i protektora, a pomoc zażądana staje się wtedy wyłączną i ostateczną myślą całego — jednego dnia. Porzuci on najpilniejsze swoje interesa, będzie do wszystkich mówił że chodzi w cudzym interesie, że z duszy rad go dobrze ukończyć, układa zręcznie w tej sprawie kroki zaczepne i odporne, przemyśliwa nad rezerwą i wzmocnienieniem pozycyi w razie nieszczęścia; ale gdy się spóźnisz lub nazajutrz z grzeczności po biuletyn do niego się udasz, wypatrzy się na ciebie, jakby cię pierwszy raz w życiu obaczył, a gdy jest w kwaśnym humorze, zapyta nawet: czego pan żądasz?

Daremnie przypominasz mu się od wczoraj. Jednodniówka jest bez wczoraj. Daremnie z grzeczności odkładasz twą prośbę na jutro, — jednodniówka jest — bez jutra!

Ciekawym jest nader żywot człowieka-jednodniówki, bo w najgorszym razie, nie znudzi czytelnika ani systematyczną rozwlekłością, ani go utrudzi rozpamiętywaniem głębszej, jednostajnie i wytrwale przeprowadzonej myśli. Żywot takiego człowieka jest przecudowne, ruchome panorama, które rozmaitością widoków i obrazków ubawi każdą, byle nie wybredną źrenicę.

Otóż okażę wam jeden taki obrazek:

Pan Michał Junosza, jest wybornym typem owych ludzi-jednodniówek. Wywodzi on swój ród od Marcina Junoszy, który żył za Jana Olbrachta, a jako prawy *sodalis* brał udział we wszelkich swego czasu zdarzeniach. Nieobojętną więc będzie rzeczą, rzucić krótki szkic życia tego ojca rodu, co nam wyjaśnić może, że choroba efemeryzmu jest niezaprzeczenie dziedziczną.

Marcin Junosza, szlachcic na walnym futorze gdzieś w ziemi ruskiej, nad Sanem, orał w spokoju czarną glebę, czarne chodował krówki, na sejmik wyjeżdżał na karym rumaku, i w czarnym chodził żupanie. Nie dziw więc że pan Marcin często czarno widział, wyjąwszy jeźli miodek dziesięcioletni jego źrenicę rozjaśnił, a serce i kości rozradował. Wtedy był on słodszym niżeli miodek, któremu z ochotą dawał gęby, a jeźli kto z sąsiadów miał z nim jaką sprawę graniczną, kończyła się ona w takim razie uściskiem serdecznym.

Wszakże nie tylko miodek rozweselał serce i kości jego; były chwile, gdzie gardło wyschnęło z pragnienia, gdzie trzeba było dać kilka czarnych krówek, i karego pod sobą zajeździć i własnej czupryny nadstawić, a przecież drżało i pukało wtedy jego serce z radości i mało z piersi nie wyskoczyło, gdy posłyszało chrzęst pancernych, gdy „pro rege et lege“ rozwinęły się sztandary bojowe.

Ale za wstąpieniem na tron Olbrachta zmienił się jakoś ten porządek rzeczy. Miodek dziesięcioletni zachował był wprawdzie tę samą władzę nad sercem i kościami pana Marcina, ale wici i wiece straciły jakoś swój wpływ wypróbowany, i po szerokiej piersi pancernego zsunęły się bez skutku, jakby po zbroi żelaznej, nie zarwawszy serca. A wcale nie stare było to serce!

Gdy wspomniano *de publicis*, Junosza najeżył wąsa, musnął po nim szorstką dłonią i mruczał coś pod nosem, czego sąsiedzi nigdy wyraźnie usłyszeć nie mogli. Wszakże razu jednego mruknął coś głośniej, a gdy go na gorącem schwytano, wystąpił pan Marcin odważnie, i szczerze ze swego smutku się wyspowiadał.

— Wszak jestem sodalis, zawołał na zjeździe ziemi przemyskiej i wolno mi opinią moją defendować, jeźli chęć komu na ostre pogonić. Aliści tchórzem nie jestem, a towarzysz Maciej Ostoja Lisowski, co się tak do mnie zajędyczył, zna *perfecte* moją sztukę krzyżową, której ot dowód zaraz mu złożę.

Tutaj szasnął Junosza kilka razy szerpentyną, w lewo i w prawo — cofnął się krok — wyskoczył dwa, a Maciej Ostoja chwycił się za ucho, podczas gdy pan Szymon Tułowczyk, głowa malkontentów, za pajęczyną po izbie żydowskiej się oglądał, a wymięsiwszy ją z miękuszką chleba, przylepiał ucho ulubionemu swemu partyzantowi.

Oczywiście Junosza obcałował Ostoję, a Ostoja z przylepionem na pajęczynie uchem, słuchał dalej spokojnie dyskusyi przed-parlamentarnej.

— Mówicie, ciągnął dalej Junosza, obcierając połą krew z szerpentyny, że Olbracht podkopuje wolność szlachecką, sarkacie przeciw niemu, którego na króla wybrała wola całej rzeczypospolitej — czyż to nie czysta herezya? Toż każdy król ma być odtąd wrogiem ojczyzny? A pocóż więc króla, jeźli trzeba go się bać jak krzyżaka, chociaż i tego nigdy się szlachcic nie bał? *Cartago deleta est*, a my nie mając wroga, szukamy go między sobą i to w królu.... wzdy to nie herezya sodales?... Żal mnie bierze na owe słowa królewskie, które nam posełą jak ojciec dziatkom swoim, a nam się zdaje, że to listy Uryasza!

— Waszmość pleciesz jak o żelaznym wilku, zawołał Ostoja, toż nie wiesz waszeć, że król chce szlachtę pognębia, chce zniweczyć statum privilegii, a nawet jus gladii na szlachcica sądom swoim nadać! Chce nami rządzić

jak *Knechtami*, a to wszystko dzieje się za radą tego przeklętego Włocha, tego zbiega Kalimacha, którego teraz zaszczytami obsypuje.

Taka kontrowersya Ostoi była dla Junoszy zupełnie nową rzeczą, a patrząc na krew ciekącą z' ucha przeciwnika, tak się rozczulił stronnik królewski, że za kilka chwil stał się najzapaleńszym rządów Olbrachta oponentem. Pan Marcin bowiem miał miękkie serce, a zadowoliwszy się odniesionem na przeciwniku zwycięztwem i okazawszy przytomnym, że zdanie swoje osobiste gotów był poprzeć szablą, odstąpił od niego, skoro nie widział tego koniecznej potrzeby. Zgoda taka wypadła zawsze z honorem, bo chociaż skrupiło się na uchu malkontenta — sprawa jednak jego oczywiście zyskała.

Wróciwszy do zagrody pan Marcin, począł w całym swoim zaścianku hałasować przeciw królowi, burzył szlachtę i demonstrował, że Jan Olbracht na zgubę szlachty się zaprzysiągł.

Śród tego nowego apostolstwa swego jechał razu jednego pan Marcin na karym ogierze w gościnę do pana podstolego, z którym skoligacony był po kądzieli, mając za żonę Elżbietę z Odrowążów Drohojowską, siostrzenicę stryjecznego brata jejmości podstoliny, Kunegundy z Odrowążów Szałackiej. U podstolego miały się odbyć chrzciny nielada. Z okręgu dwudziestu mil zjechała się bracia, aby godnie uczcić przyrostka i tak licznej konsolacyi szanownego sąsiada. Cóż to za pole było dla nowego apostoła, aby nienawistnego Olbrachta zdyskredytować!

Ale „homo proponit, a Deus disponit“ szepnął do siebie szczęśliwy pan Marcin, któremu rola malkontenta już się była sprzykrzyła. Bo trzeba wiedzieć, że Marcin przybywszy do podstolego, zastał był huk braci bliskiej i nie bliskiej, ale zastał ją na koniach, lepiej niżeli do przejazdki okulbaczonych, w pełnej zbroi i z marsem niezwykłym na twarzach, i odgadł od razu, że się tu coś innego święci.

I odgadł dobrze, bo mu przeczytano rozkaz królewski pospolitego ruszenia w celu wyprawy na Wołoszczyznę. Tysiąc szlachty siedziało na koniach i brzękało szablą, mógłże pan Marcin znieść bez grzechu taką uczciwą pokusę, gdzie szło o dobro ojczyzny? Zapłakał ze skruchy stary pancerny, posłał do żonki po zbroję i pachołka, i ucałowawszy pieczęć królewską, ruszył pod Lwów, i tem swe sumienie uspokoił, że podobnych sobie zastał pod Lwowem zebranych 80 tysięcy.

Pan Marcin był to człowiek obyczajowy i wierzył uporczywie w inspiracyą z góry, która po każdym odśpiewaniu antyfony nieszpornej w jego serce wstępywała. Odśpiewawszy więc nabożnie: „gwiazdo morska“ uczuł stary pancerny wielkie ukojenie, i ruszył wzdłuż karpackiej krainy w tem przekonaniu, że na Wołoszy czeka go nieochybne zwycięztwo.

Inspiracya była wprawdzie dobra, bo uczyniła malkontenta posłusznym woli królewskiej, jak to z porządku rzeczy zawsze być powinno. Skutek wszakże nie był wcale dla Junoszy fortunny.

Zaledwo bowiem zdołały polskie chorągwie wejść w rozległe lasy bukowe, ciągnące się wzdłuż granicy Wołoszy, już spotkała je klęska niespodziewana, zdradliwie przeciw przebywającym las, przez Wołochów przygotowana. Klęska była tem fatalniejszą, że trzeba było walczyć z bukami stuletniemi, które Wołosi popodcinali i na ściśnione rycerstwa szeregi walili. Przy tak nierównej walce musiał nasz stary pancerny myśleć o własnej skórze, a zapomniawszy o inspiracyi pobożnej, klął na całe gardło i blazfemował, gdy z pod niego karosz wybiegł, zostawiwszy go powieszonego za włosy na gałęzi bukowej. Do tego nadbiegł jeszcze jakiś Wołoch osmolony i z uda Junoszy wykroił spory kawał mięsa. Byłby może i głowy towarzysza zapragnął, gdyby się buk nie był powalił, a stanąwszy na nogach Junosza, nie obciął Wołochowi bezbożnej ręki.

Z obdartą czupryną, osmoliwszy sobie wąsy, brnąc przez zapalone suche chwasty, zdążył pan Michał do swojej żonki, i nieukazując się przez dwa tygodnie na zborach szlacheckich, śpiewał „de profundis“ i dwa razy z herezyi swojej się spowiadał. Była już podówczas „opinio publica“, że Jan Olbracht szlachtę zdradził, że chcąc ją wytępić, zmówił się z Wołochami i w tym celu w bukowe zapędził ją lasy. Mówiono szeroko o owej „bukowinie,“ i tak często, że nawet i kraj ten fatalny Bukowiną przezwano. Zdrada króla była już tak jasna jak słońce, chociaż w głowach malkontentów nie było wcale zbyt jasno. Ale jasne miał pan Marcin przekonanie, że popełnił niesłychaną herezyą, odstąpiwszy od swego zdania i dawszy się uczciwym przykładem i inspiracyą skonwinwinkować. Uczyniwszy dostateczną pokutę i ogoliwszy do reszty czuprynę, który to zwyczaj miało przyjąć rycerstwo w skutek doznanej w lasach bukowych przygody, pokazał się znowu na sejmikach pan Marcin, a w pierwszej swojej perorze odsądził Olbrachta publicznie od tronu, czci, wiary i życia, i poprzysiągł solennie działać ku jego detronizowaniu.

W takim ferworze zawałęsał się stary Junosza aż do Krakowa, propagując przeciw królowi, który podówczas także w Krakowie przesiadywał.

Otóż stało się pewnego razu, że stary malkontent wychodząc późną nocą z grona podobnych sobie detronizatorów, zdybał się na Piaskach z jakimsiś nie znanym mu szlachcicem. Wiedziony jakąś dziwną inspiracyą, o której niewiedzieć, czyli z antyfony, czy z antału pochodziła, rozpoczął z nim kłótnię o to, który z nich miał być pijany. Trudny był spór, bo też w samej rzeczy trudno

było orzeknąć, czy jeden tylko, czyli obaj byli pijani. Przyszło do rozprawy, a pan Marcin nabiwszy szlachcicowi guza, odszedł w tem przekonaniu, że miał do czynienia z jakimsiś pijanicą.

Horrendum mospanie było przebudzić się rano panu Marcinowi! Rumor bowiem rozszedł się po całem mieście, że jakiś pijanica nabił powracającemu w nocy królowi potężnego guza, a przezco stało się to zgorszenie, że sacrosancta jego persona, okazała się wrażliwą na podobny pięści szlacheckiej traktament. Rozwiał się urok królewski, a malkontenci podnieśli głowę, aby upadającemu w opinii publicznej Olbrachtowi zadać cios śmiertelny. *)

Dobra więc była to pora, w której stary Junosza mógł o detronizacyi króla przemyśliwać. Zewsząd dały się słyszeć głosy nieukontentowania. Ale Junosza właśnie w tej chwili zawrócił na inną drogę.

Odbyty po pijanemu kasus, i to na osobie królewskiej aczkolwiek tylko *per errorem* dokonany, pogrążył starego malkontenta w czarną melancholią, śród której to tylko miał ukojenie, że szedł za inspiracyą wewnętrzną, która go do wybicia guza na ciele królewskiem niesłychanie zagrzewała.

Nie musiało być dostatecznem to ukojenie sumienia, jeźli skruchą swoją następną, która go od tej chwili uczyniła najzapaleńszym Olbrachta obrońcą, starał się uspokoić gorzkie serca wyrzuty. Wszakże i skrucha ta nie wystarczyła mu do zmazania popełnionej herezyi. Ranku jednego, odprawiwszy świętą spowiedź i oczyściwszy się z wszelkich swoich grzechów, które każdego dnia inaczej się jakoś wydawały, powziął był stałe postanowienie rozstać się z grzesznym światem, i w habicie bernardyńskim życie swoje zakończyć.

Zawołał więc syna, a całując go dał mu tę naukę, aby nie dbając wiele o rozum książkowy, szedł za inspiracyą pobożną, za natchnieniem chwili i sztuką krzyżową, a pewnie pójdzie dobrze i uczciwie.

— Tak szedł twój ojciec chłopcze, zakończył perorę, a szedł dobrze i uczciwie, a jeźli zbłądził, to juściż lepiej zbłądzić przez uczciwość i dobre serce, niżeli iść dobrze za jakimsiś tam uczonym rozumem!

Schyliwszy z pokorą głowę szedł dawny pancerny drogą ku Częstochowie, aby tamże ojców Paulinów odwiedzić i z niemi o wybór konwentu się naradzić, gdy spostrzegł tłum pancernych, którzy do Piotrkowa spiesznie dążyli. Dowiedział się stary towarzysz, że brat Olbrachta, Alexander, z Litwy do Piotrkowa w półtora tysiąca koni nadciąga, by pretendować o koronę po bracie. Olbracht bowiem już umarł, a w Polsce gotowała się nowa elekcya.

Zadrgnęły stare żyły pancernego, a słuchając zawsze inspiracyi, przestał myśleć o habicie bernardyńskim i w cwał do Piotrkowa pogonił.

W zwadzie jednak o elekcyą, rąbnął pana Marcina jakiś szlachcic z Pokucia tak mocno, że inspiracyą swą na zawsze wyzionął!

Na grobie położono mu napis:

Gdy za króla Olbrachta
Wyginęła szlachta,
Jeden tylko Junosza
Powrócił z Wołosza.

(C. d. n.)

*) Historyczne.

---

## *Ziemia Bełzka.*

(Ciąg dalszy).

Na samej znowu granicy polskiej, pośród bukietu z odwiecznych osik, lip i smutnych topoli, po nad murowanemi, schludnemi gospodarskiemi budynkami, na wyniosłem wzgórzu, raczej na kwiecistej kępie, u której stóp szumi wiecznie hałaśliwy młyn, wyziera nie wielki, ale tak schludny, tak ponętny, jak owa bombonierka w ręku eleganta z czasów Ludwika XIV., domek, zewnątrz i wewnątrz jak misterne pudełeczko! A domek to kawalerski, którego właściciel z pobytu kilkoletniego za granicą zamiast naśladować dzisiejszych turystów, i przywieźć sobie do kraju czczość, nudny spleen i pogardę, dla ojczystej grzędy niestety! przywiózł tylko, oprócz innych korzystnych nabytków moralnych, i ten prawdziwy konfort *d'un vrai gentilhomme*, którym otoczył się wprawdzie, ale nie jako gnuśny, samolubny Sybaryta. Bo baczny gospodarz obdziela nim z wdziękiem i z zręczną uprzejmością każdego łaskawego sąsiada, co tylko niechce pominąć *Sulimowa*. — Na przeciw, w nizinie, niby bliźnię *Sulimowa*, bo oddzielone tylko stawem i groblą, z poza gęstej drzew zarośli — tęskno jakoś na sąsiadkę pozierają *Liwcze*. —

Tu kres znanego mi Bełzkiego z lewej strony Bugu. Prawą zajął na pierwszym wstępie *Sokal*. Miasto to ma blisko 3800 mieszkańców, magistrat, kościół obrządku łacińskiego i greckiego, a na lewym brzegu Bugu wznosi się obronny niegdy klasztor OO. Bernardynów, gdzie aż do niedawna, pokąd klasztor wraz z kościołem nie pogorzał, mieścił się nader kosztowny skarb, bo cudowny obraz N. Panny, koroną od Klemensa XIII przysłaną w r. 1724 ukoronowany, do którego to Św. miejsca, mnogich poczty pobożnych zewsząd ściągały się. Ale w nieszczęsnym pożarze obraz ten spłonął, aż dopiero niezmordowanem staraniem byłego kustosza zakonu, ś.p. ks. Mikołaja Ruszczyńskiego, a szczególniej hojnością i pobożną gorliwością obywateli Bełzkiej ziemi, klasztor z kościołem do dzisiejszego stanu z gruzów dźwignięty, i smakownie wewnątrz przyozdobiony został. W miejscu zaś spalonego, cudownego obrazu, nowy odmalowany według dawnego wzoru we Lwowie, w. r. 1848 przez JW. ks. Gutkowskiego, biskupa Podlaskiego, przy wielkim napływie pobożnych uroczyście konsekrowany i w miejsce dawniejszego wprowadzony.

Z starożytnego, niegdy tu istniejącego zamku już nawet ślady nie istnieją. Tuż za miastem widzieć się daje bardzo obszerny szaniec, znać był to ów kosz tatarów od których w. r. 1519 wojsko polskie klęskę tu znaczną poniosło, i miasto przy tem spalone zostało. — Dokoła Sokala wznoszą się liczne kurhany, na pamiątkę — albo też kryjące zwłoki poległych.

Na północ, o ¾ mil od Sokala, leżą *Skoromochy*, majętność z rozległemi gruntami, lasami i murowanym dworem, należąca do klucza *poturzyckiego*. Dzisiejszy posiadacz w jednym z folwarków tej włości, *Walawce*, pośród pięknego brzozowego gaju, zamienionego w park, któren zdobi rzadkiemi exotycznych krzewów exemplarzami, założył, nadto może osamotnioną, ale zawsze romatyczną willę, zdobiącą prawy brzeg Bugu. — Na tym tu folwarku gospodarstwo polowe zaprowadzone jest, acz na niewdzięcznym piasku, według zasad racyonalnych, płodozmienne. Tuż za Sokalem poczyna się szereg folwarków państwa *Poturzyckiego*, które się łączą niemal z majętnością *Krystynopolską*. — Sama *Poturzyca*, ani pod względem zabudowań, ani też urządzenia gospodarskiego nie nastręcza nic zastanowienia godnego, przynajmniej tyle, ile by się po tak obszernem państwie spodziewać należało. — Dóm ekonomiczny murowany, przy drodze, dom mieszkalny, na piętro w prawdzie i murowany, ale nie zalecający się wcale symetrją. Na skrzydłach oficyny dość sędziwo wyglądające, w głębi stajnie: otóż i rezydencya jednego z najbogatszych panów naszych. Całą osobliwością Poturzycy jest staranny zbior ornitologiczny. — Widzieć bowiem tu można całe królestwo ptasie, tak krajowe, jako też wędrowne, w kraju się pojawiające, a to od najmniejszej pośmieciuszki aż do pelikana, do czego to trzymają tu stale zagranicznego mistrza, co te twory skrzydlate wciąż w mumje przerabia. Prócz tego są tu troskliwie zbierane wszystkich znanych u nas ptaków jaja, a te osobny gabinet składają.

Niedawnemi czasy do państwa Poturzyckiego dokupioną została, niczem już dziś nie odznaczająca się włość, *Boratyn* — chociaż była ona gniazdem możnej niegdy, dziś zgasłej już rodziny *Boratyńskich*.

Po zagranicą już Bełzkiego — bo aż pod Rawą, leży obszerna włość *Kniazie Lubicze*. Zasługuje ona na wspomnienie ztąd, że mieszkańcy tutejsi są wszyscy prawowitymi *Kniaziami* (książętami) a podanie tego pochodzenia jest następujące: Za czasów Rusi wiódł zaciętą wojnę jeden z książąt Bełzkich z księciem Włodzimirskim. Boj stoczono w okolicy tutejszej; książę Bełzki na głowę porażony, opuszczony od swoich, gdy ścigany i ściśle śledzony przed zwycięzcą uciekał, spotkał chłopka, co wiózł furę siana. Ów tedy chłopek, zdjęty litością, ukrył go w sianie i szczęśliwie przez czaty nieprzyjacielskie przejechawszy, do Bełza się dostał. Wdzięczny książę za tę przysługę nadał wiecznem prawem swemu wybawcy obszerną przestrzeń ziemi, a nadto jego i jego potomków własnym herbem i tyułem kniazia obdarzył. Ztąd rozrodziła się liczna rodzina kniaziów Lubeckich, która dziś zamieniona wprawdzie w włościan, pamięta atoli dotąd i dumna jest z swego pochodzenia.

Opowiadano mi iż gdy niedawno jeden z obywateli tutejszych, sam książę, zaprosił kniaziów z Lubiczy na chrzciny swego syna, kniazie ci na krzyżmo małemu księciu zapisali jednę z swych włości dziedzicznych. W ogóle kniazie ci majątkiem swym spolnym, źle się rządzą i ledwie ostatki dawnego mienia im pozostały. (C. d. n.)

---

## Rozmaitość.

* W jednej traktyjerni lwowskiej czytaliśmy dnia wczorajszego
następujący polski spis potraw: *Zupy*: Rosoł rumiany z Sterndl,
Zupe Zillerow. *Zimne potrawy.* Straspurger Paste. Pomerski
Gienz. Caviar. Rizi. *Sztuka mięsa:* Wolowa z Ogurfensos
*Jarzyny.* Kohl z Kilbasą. Kapusta z Wynsonem. *Ryby*, Mari-
nów Schill. Zlimaki z Skram. *Potrawki.* Cielęca z knodlami.
Cottelety z Piece. Glasirowan BrustzPiecce. Spikowan
Wontrupka. Pieczień Tirolski, Kren-Fleisch. *Leguminy.*
Wybecana Legomin z Japkami. Rys na Milka. *Sałaty.* Mizane.

Oryginał, co do litery tu oddrukowany, mamy w ręku.

—«Ach patrz no pan na to pisemko; tytuł ma: *Rozmaitosci* Nr. 1.
Biorę do rąk. Patrzę. Pięć pierwszych stron jakiegoś dramatu począ-
tek, trzy stron reszty znowu początek drugiego dramatu. Wszak to
nie *rozmaitość* lecz *tożsamość.*« «Alež bo inaczej tę rzeczy bierzesz, jak
redaktor. To są dwa dramata, w każdym jest osobna rozmaitość;
więc jedną rozmaitość i drugą razem wziąwszy otrzymasz, co?..........
*Rozmaitości.*»

* Z balów, które w tym karnawale się odbędą słyszymy o dwóch w sali redutowej zwanych *Fusion* dnia 16 i 25go tego miesiąca, i o dwóch strzeleckich, na strzelnicy, które nastąpią jeden 23go a drugi w pierwszych dniach lutego.

* Z wielkiem zadowoleniem oglądaliśmy wystawę obrazów, urządzoną przez pana Tysiewicza a dla braku miejsca sprawozdanie o niej aż w następującym damy numerze. Tymczasem każdemu sumiennie zalecić jej zwidzenie możemy. Są tam obrazy wielkiej piękności, mianowicie kopia wyborna śmierci królowej Elżbiety angielskiej, oryginał Delaroch'a, i obraz duży pędzla Herbsthoffera: Pokuszenie ś. Antoniego.

† Dnia wczorajszego o godzinie 6. zrana umarł we Lwowie Jan Nepomucen Kamiński w 80tym roku życia. Pogrzeb odbędzie się w Niedzielę, który zapewne zgromadzi wszystkich czcicieli tego szanownego męża, a że niema nikogo, coby zasług jego około polskiej sceny nie uznawał więc zastęp pogrzebowy będzie bardzo liczny.

---

Znaczenie poprzedniej szarady: **Pokora.**

**Szarada.**

Pierwszą z drugą krawiec szyje,
Pierwsza z drugą czasem myje czasem bije,
Trzecią z pierwszą zbrodnia zwykle odbierze,
A druga z trzecią zamieszkuje wieże.
Całość jest pamiątka dla Polaka,
I ta się obchodzi w obliczu Wawelu,
I chociaż tam niejeden oberwie siniaka.
Zawsze na niej bywa ludzi bardzo wielu.

---

**Przyjechali** od dnia 3. do 5. Stycznia do Lwowa.

PP. Sokołowski Konstanty, z Ulicka. Winogrodzki Albin, ze Stryja. Mosch Karol, ze Stebnika. Rakszewski Zygmunt, z Kamienopola. Zbrożek Onufry, z Kamienopola. Sroczyński Karol, z Brusna.

PP. Rubczyński Alfons, ze Stanin. Szymanowscy Szymon i Franciszek, ze Spasowa. Gottleb Felix, z Dołhych mościsk. Głogowski Ludwik, ze Psar. Kotkowski Władysław, z Mikołajowa. Obertyński Leopold, ze Stronibaby. Niezabitowski Napoleon, z Nakła. Eminowicz Kajetan, z Mamionki.

**Wyjechali** dnia 3. do 5. Stycznia ze Lwowa:

PP. Czermiński Juliusz, do Glińska. Kalinowski Władysław. hr., do Bakończyc. Drohojowski Józef, hr., do Balic. Karnicki Teodor hr, do Maholowic.

PP. Badeni Władysław hr., do Borynicz. Bobowski Leon, do Cykowa. Tretter Konstanty, do Łonia. Poten Henryk, do Ładnowa. Antoniewicz Wincenty, do Skwarzawy

**Lwów 5. Stycznia.** Na dzisieiszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 32 złr. 30 kr. do 33 złr. 40 kr. — Żyta po 27 złr. 30 kr do 30 złr. — kr. Jeczmienia po — złr. — kr. do — złr. — kr. Owsa po 18 złr. — kr. do 20 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 19 złr. 30 kr. do 22 złr. 7 kr. — Ziemniaków po 10 złr. —do 12 złr. 30 kr. Sąg drzewa bukowego 32 złr. 30 kr. do 35 złr. Sosnowego po — złr. — kr. do 25 złr. 45 kr. w.w. Cetnar siana 3 złr. — kr. do 3 złr. 45. kr. Centnar słomy 1 złr. 55 kr. do 2 złr. 5 kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity 5 Złr. 38 kr. w. w.

**Kurs telegrafowany z Wiednia 5 b. m. o g. 2. po połud.**

| | | | |
|---|---|---|---|
| Augsburg za 100 złr. . | 128¼ | Pożyczka 5% 82¹³⁄₁₆ 4½ | 70¾ |
| Hamburg za 100 tal. banco | 94⅝ | Akcye banku . . . . | — |
| Londyn za 1 funt szterl., | 12 23 | Kolej północna . . . . | 1930 |
| Medyolan za 300 lirów | — | Obl. ind. . . . . . . . | 76½ |
| Paryż za 300 franków . | 149⅛ | Nowa pożyczka z loterya | 98½ |
| Agio duk. ces. . . . . . | — | Pozyczka narodowa . . | 85¹³⁄₁₆ |

Wczorajszy **Kurs Lwowski**

| | Gotówką | | | | towarem. | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| Dukat holenderski . . . . . . . . . . | złr. | 5 | kr. | 54 | złr. | 5 | kr. | 56 |
| Dukat cesarski . . . . . . . . . . | « | 5 | » | 59 | » | 6 | « | 1 |
| Półimperyał zł. rosyjski . . . . . . . . | « | 10 | « | 12 | » | 10 | « | 15 |
| Rubel srebrny rosyjski . . . . . . . . | » | 1 | « | 59 | « | 2 | » | — |
| Talar pruski . . . . . . . . . . | » | 1 | « | 54 | » | 1 | « | 56 |
| Polski kurant i pięciozłotówka . . . . | » | 1 | « | 25 | » | 1 | « | 26 |
| Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. bez kuponu | » | 89 | « | 50 | » | 90 | « | 30 |

Obligacye. indemnizacyjne 74 — do 74 złr. 10 kr.




Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.**

Z drukarni **E. Winiarza.**